

Majteczkowa przygoda II

Gdzie się podziały wszystkie dzieci z podwórka, Danusia nie miała pojęcia. Zresztą była zbyt jeszcze ma-
lutka, by objąć całą tę otaczającą ją rzeczywistość. Ba! Nawet nie umiała wtedy tak jej górnolotnie na-
zwać. Znała zaledwie kilka małych ścieżek. Tę do Pałacu, bardzo pięknego i wielkiego, gdyż górował tuż
nad ich domem, na maleńkie wzgórze nieopodal, gdzie znajdował się tartak oraz ścieżkę do czworaków.
Nad rzekę i tę najważniejszą oczywiście, to jest ścieżkę do stolarni, która znajdowała się nieopodal pa-
łacowego parku. Tam pracował jej Tatuś. Ukochany bardzo tatuś. Było lato, matka musiała być czymś
bardzo zajęta. Może poszła po pokrzywy dla gęsi, kur i kaczek. O i dla świnki też!? Zresztą, kto tam dzie-
ci wtedy pilnował. W zasadzie nikt i prawie wcale, a wcale. Jeśli już zaistniała taka konieczność, to star-
sze dzieci pilnowały młodsze i to też nie za bardzo. Chyba, że rozeszła się po wsi wieść, że Cyganie ja-
dą... Żydów już w zasadzie tak jakby nie było, więc porwań na macę też już nie było. Bo tak czasem lu-
dzie mówili, że na mace małe dzieci porywali oni, to znaczy Żydzi, przed wojną jeszcze. Jedni mówili, że
to bzdury i czeze wymysły, inni zaś święcie w to wierzyli.

Jakby tam nie było, to w ten upalny, letni dzień wokół żadnego żywego ducha, nawet gęsi jakoś nie gęga-
ły, może poszły wraz z kaczkami w dolinę, prosto nad rzekę. Albo się paść na nieodległej łące. Dzieci też
jakby się gdzieś zapadły. Może poleciały bawić się za czworaki, tam ich zawsze było najwięcej. Poza tym
było parno i tak jakoś pusto i nudno. Tak jakby czas przestał zupełnie istnieć. Słysząc było tylko owady i
od czasu do czasu porykiwujące krowy. Wszystkie owady świata, tak jej się zdawało. Och, jak pięknie
one grały, bzyczały, buczały. Było tak miodnie i spokojnie. A gdy tak szła pod górkę, tą najważniejszą
dla niej ścieżką, miała wrażenie, że kwiaty chylą ku niej swoje wielobarwne główki, a niektóre nawet się
uśmiechają. A wielkie łopiany pochyliły się w lekkim ukłonie. Zaś dumne i zaczepne osty strzepią o sie-
bie swoje karminowe, ostre główki, byleby zaświadczyć o swojej obecności. Może to tylko lekki wiaterek
tak wówczas zawiewał, tego jednak nie pamięta. Jedynie to, że wtedy trawa obok domu rosła sobie jak
chciała, a wokół starych grabów rosły dowolnie takie kwiaty, jakie sam Pan Bóg wziął i zasiał. I krzewy
najprzeróżniejsze, podobnie. Można się było za nimi skryć w razie czego. Choćby przed gąsiorem, który
syczał od czasu do czasu bardzo, ale to bardzo groźnie! Danusia nie pojmowała wówczas, że jeszcze tak
dziesięć, dwanaście lat temu były to niemieckie kwiaty, niemieckie drzewa i krzewy. Nawet ta rzeka w
dole i ptaki na niebie też były niemieckie.

I pałac nieopodal, i kuźnia, tartak, czworaki i stolarnia nie były jej, ani jej rodziców. I ciepły, kaflowy
biały piec także. Ale ona Tu się urodziła i tu był jej Dom. I wszystkie te ścieżeczki należały do niej. I ten
maleńki ogródek przy stolarni, pełen warzyw i zwijającej się w główkę liści kapusty i pachnący groszek,
a potem koperek i pietruszka, oraz pomarańczowa jak schyłek lata, marchewka. Cały ten świat wokół, a
także ogródek pełen malw i złocieni oraz nawłoci, który uprawiała jej matka, był od zawsze ich.

I wiśnie, dorodne, kapiące sokiem, wiśnie. Pochylone tuż nad ziemią, kuszące kolorem i słodką, a przy
tym orzeźwiająco cierpką świeżością. Danusia, by dostać się do stolarni, musiała pokonać niemały pa-
górek. Na jej około dwuletnie nóżki, był to duży, a nawet bardzo duży pagórek. Gdy dotarła wreszcie do
celu, jej Tatuś strugał drewno. Spod hebla, czyli inaczej mówiąc struga, leciały wióry. Cudownie pach-
nące wióry. Mogła tak stać i stać i wchłaniać bez końca zapach drewna i żywicy. Na ziemi leżały też całe
tumany trocin. Rozgarniała je nóżką, żeby jeszcze lepiej pachniały. Ojciec co rusz ocierał pot z twarzy,

od czasu wyciągał wielką kraciatą chustkę i wycierał także nos. Nie miał czasu na rozmowę z nią. Stała więc w milczeniu jak nie raz już zresztą i patrzyła. Kochała swojego Tatusia bardzo, choć był taki wciąż zajęty. Może właśnie dlatego tym bardziej jeszcze?

- Poszłabyś Danusiu, pobawić się z dziećmi. Nie nudzi ci się tak tutaj stać?

Ale jej się nie nudziło. Na swojego ojca mogła patrzeć i patrzeć. Każda jego czynność była czymś tak niesamowicie pięknym i sensownym. Tego też nie umiałyby wtedy nazwać, ale że tak dokładnie czuła, to oczywiste.

Pył unoszący się w powietrzu oraz żar, który gorącym strumieniem wlewał się do stolarni, albo warsztatu, jak mówili niektórzy z niemiecka, dał w końcu o sobie znać. Danusia poczuła niesamowite pragnienie, a wiśnie rosnące nieopodal nęciły coraz bardziej, tak więc cichuteńko jak weszła tak i wyszła, że ojciec nie zauważył nawet jej zniknięcia.

Wiśnie były dość młode jeszcze, bowiem gałęzie płożyły się niemal po ziemi. Danusia rwała je więc bez ograniczeń i jadła, jadła, by ugasić pragnienie. A że smak był tak wyborny i sok ściekał tym bardziej zachęcająco po jej małych, acz pulchnych paluszkach, więc rwała i jadła je dalej, dopóki nie poczuła, iż musi natychmiast się załatwić. Do nocnika, czy też wychodka było zdecydowanie za daleko. Nie zdążyła więc zapanować nad fizjologią i katastrofa gotowa.

Rozejrzała się wkoło bardzo zaskoczona i próbowała jakoś zaradzić sytuacji. Wiedziała jedno, nie może tak wrócić do domu. Ojca uwielbiała, czuła się przy nim zawsze bezpieczna, do matki zaś czuła respekt. Duży respekt. Rozejrzała się więc jeszcze raz i spostrzegła jak u szczytu pagórka, który wieńczył maleńki, wiśniowy sad oraz stolarnia z kuźnią, wyłania się wraz z dwoma wiadrami, pełnymi krystalicznie czystej wody, stara Awiżyniowa. Zmęczona dźwiganiem postawiła je na chwilę, wzięła szeroki wdech, by po chwili wziąć z powrotem i skręcić w prawo wprost do swojego domu. Przed czworakami, które widniały na sąsiednim pagórku, nieco poniżej stały dwa połączone ze sobą poniemieckie, ceglane domy. Danusia nieraz bywała tam z matką. Wewnątrz lśniły one nadzwyczajną czystością i pachniały szarym mydłem, fiołkami oraz lawendą. Podłogi były tak wyblaszczone jak u nikogo. Taka była Awiżyniowa. Do przesady czysta, jak zazwyczaj kobiety ze Wschodu. Choć wtedy dla Danusi, wschód jako taki nie istniał, jednakże w jej uszy wbijał się ten specyficzny zaśpiew. Rodzice mówili jakoś tak zwyczajnie po polsku. Miętko ale nie aż tak śpiewnie. Awiżyniowa za to tak. Teraz jednak znowu postawiła wiadra na ziemi, tuż przy ganku i schodach prowadzących prosto do kuchni. Zmęczona weszła do domu, żeby zapewne odetchnąć.

Nie czekając ani sekundy, Danusia zdjęła bawełniane, zabrudzone bardzo poważnie majteczki, podeszła do wiadra i starannie je wyprała. Tak jej się przynajmniej zdawało. W drugim wypłukała, wszak widziała, że matka zawsze płucze pranie w drugiej misce, też cynowej jak oba wiadra, które akurat cudownym zrządzeniem losu, miała przed sobą.

Jakże wielką poczuła ulgę, gdy wykręciła majteczki po swojemu i z powrotem podeszła do wiśni, by powiesić je na nisko zwisającej gałęzi. Uczyniła to tak majestatycznie, jak zawsze robiła to matka, rozwieszając na podwórku pomiędzy drzewami swoje pranie. Zadowolona z tej prostej bardzo, jak się okazało, czynności, stała i przypatrywała się spokojnie efektowi swojej poważnej, pomimo wszystko, pracy. Pierwszej w życiu pracy. Wiedziała, że wkrótce muszą one wyschnąć. Tej jej małe majteczki. Słońce było jeszcze dostatecznie wysoko i paliło niemiłosiernie. Pszczoły latały wokół i spijały sok z owoców oraz nektar z pobliskich kwiatów, gdy ni stąd ni zowąd, ten jakże błogi stan, przerwał straszliwy wrzask.

- Jasna cholera, by to wzięła!!! Co za gadzina tu przyszła i mi to zrobiła? Jakże to tak człowiek, człowiekowi? Taż, chwilki zaledwie mnie nie było. A fuj, ludzie ratujta! Tak wziąć i napaskudzić. O, Józefie Przenajświętszy!

Nie rozumiała Danusia wówczas absolutnie, dlaczego stara Awiżyniowa tak krzyczy, a raczej tak śpiewa. Poznała ten zaśpiew od razu. Nie potrafiła jednak skojarzyć tych dwóch, tak jakby osobnych, historii. Ona miała problem, a raczej zdarzenie, które wymagało rozwiązania i tak właśnie uczyniła. Lepszej sposobności mieć nie mogła. Dlaczego zatem Awiżyniowa aż tak rozpacza? Była bardzo zdziwiona, niemniej zaczęło się po raz pierwszy coś w niej tlić i przejaśniać, że to, co jej się wydawało być takie jak należy, niekoniecznie musi być dobre dla innych. Wszak Awiżyniowa stała nad wiadrami w końcu i tak rozpaczała, co Danusia zauważała dopiero teraz, gdy wychyliła swoją małą główkę spoza wiśni i kłacza paproci. Nie wiedziała wtedy jeszcze, co to lęk, co to dobro i zło. Na wszelki jednak wypadek, nie wiedzieć czemu, schowała główkę z powrotem za drzewa, wciąż bardzo zdziwiona i czekała kiedy ta wielka i nieoczekiwana burza w środku upalnego dnia, w końcu minie.

Potem urosła. I nikt nigdy nie wspomniał o tej sytuacji. Zdumiewające, doprawdy zdumiewające.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Daniela Jadwiga Jarszak, dodano 15.01.2019 10:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.